Przyjaciel Ludu.

ROK DZIEWIĄTY. **No. 2.** Leszno, *dnia 9. Lipca* 1842.



Jak wypędzają biedę?

Co to jest bieda?
(Powieść.)

Co to jest bieda? drogi ojcze, ciągle słyszę to słowo nie tylko z ust nędzarzów błagających o wsparcie; ale nawet, co dziwniejsza, między dworzanami daje się nie raz słyszeć to fatalne słówko, kiedy kogo pociągniesz za język, aby ci szczerze skrytości serca swego objawił, zawsze znajdzie się na dnie nieszczęsne: bieda! Mości książę!

Tak się pytał pewien królewicz swego sędziwego ojca, nie kontent z siebie, że nie mógł pojąć tak pospolitego wyrazu. Troskliwy ojciec, chcąc jak najdokładniéj odpowiedzieć na jego zapytanie, zaczął mu wykładać wszystkie rodzaje biedy, zacząwszy od królewskiéj idąc stopniami aż do najnędzniejszego żebraka. Ciekawy królewicz słuchał jak o żelaznym wilku, nie mogąc pojąć słów ojca, znać go ktoś oprzyroczył. Ponieważ zdaniem mędrców goszczą-

cych na królewskim dworze, miał pojęcie nader bystre, i z wielkiém ich podziwieniem rozwięzywał najtrudniejsze polityczne i filozoficzne zagadnienia, korciło go tém bardziéj, że nie czuje i nie pojmuje tego, co najpospolitszy człowiek. Była to pierwsza przeciwność, na którą w życiu swém natrafił, zapalił się więc tym gorętszą żądzą dojścia prawdy i postanowił jechać w świat i szukać biedy.

Nazajutrz oznajmił ojcu swe postanowienie; a ten, jak nigdy, tak i teraz nie sprzeciwił się jego woli. Przyszykowano wszystko do wyjazdu, wybrano najdzielniejszego rumaka, ubrano go w złociste rzędy, drogiemi wysadzone kamieniami. Królewicz trzeciego dnia wstawszy rano i pożegnawszy się z ojcem, wsiadł na koń i ruszył w świat. Było to jeszcze bardzo rychło: nieznacznie z wilgotnego zmroku świt się wykradać zaczął; naokoło głęboka panowała cisza, tylko czasem spłoszona zakrakała wrona, zaszczekał zaszargany lis wracając do nóry, lub zafurknął skrzydełkiem ranny skowronek, ulatujący w górę, aby powitać wschodzące słońce. Królewicz choć nieco chłodnym wietrzykiem w swym zapale ostudzony, widząc pierwszy raz w życiu tak wspaniały majestat natury, pokrzepił tém bardziéj powzięte postanowienie, że prędzéj do domu nie wróci, aż swego celu dopnie. Jedzie więc daleko, daleko! Już był dawno minął granice swego państwa; teraz zapuścił się w jakieś okiem nieprzejrzane puszcze, którym ciemne i ponure lasy tém więcéj dodawały ponurości. Nigdzie ani widnąć człowieka. Tylko zając niekiedy spłoszony szelestnym biegiem stępaka, z kotliny poskoczył na bok, przysiadł w dołku, stuliwszy słuchy, czekał póki nie przejedzie; chyba ptaszek zaszeleścił, wlatując na wyższą gałązkę.

Królewicz zamyślony, ba może i nieco głodny, nie uważał już ani na zająca, ani na ptaszka, ani na inne piękności natury; ale ciągle wytężał wzrok naprzód, a myślą wzrok swój wyprzedzał. Lecz ów dzielny rumak zwolna postępował, bo jakoś nieznacznie stępiała jego rączość, występować zaczęły coraz widoczniéj żebra na wierzch; pomimo tego jednak wlókł się szkapina jak mógł, bo królewicz miał kolczate ostrogi, któremi szeroko boki mu podziurawił, a i ostre gałęzie podrapały jego dawniéj tak połyskującą sierć, iż zaczęła się jeżyć jak szczecina. Co gorsza, że i sam znużony królewicz draśnięty i skubnięty nie raz w gęstwinie, musiał często zginać swój prosty kark, a i tak nie zawsze uszedł szwanku, bo niekiedy giętka gałąź porządnie śmignęła go po dostojnym grzbiecie, lub co gorsza, zgięta o łeb konia, musnęła po samém nawet najjaśniejszém obliczu. Na domiar trudu straszny wicher zaszumiał jękiem po rozłożystych konarach wysokich drzew, a głuche wycie wilków dodawało mu więcéj okropności i zgrozy.

Nie wiele brakowało, a nasz królewicz byłby znalazł to, na co się był tak zawzięcie usadził, gdy wtém naraz gęsty las przerzedzać się zaczął, coraz to większe w nim jaśniały łysiny, wiatr ucichł, a nasz podróżny ujrzał się znowu na otwartém polu, na którém z dala widać było paszące się trzody. Widok to był dla niego zachwycający: kołyszące się zieloném zbożem rozległe pole, daléj nieprzejrzane okiem łąki, na których długim rzędem postępujący kosarze, gdyby sznur żórawi, cięli bujną trawę, połyskując z dala kosami i pobrzękując w takt osełką. Powietrze tchnęło miłą wonią, a ptaszki rozkoszniéj niż kiedy śpiewały, i nie dziw, bo mu w uszach dzwoniło jeszcze grobowe wycie wilków.

Gdy więc tak jakby nowonarodzony puszcza się daléj, napotkał idącego ku sobie dziada, który choć dość czerstwo wyglądał, schylony pod sporym tłomokiem na plecach i dwoma na krzyż przewieszonémi skórzanémi torbami z trudnością na krukwiach utykał.

Zdziwił się nie mało dziadowina, widząc tak znakomitego pana w tym stanie z gęstwiny wyjeżdżającego, zabiegłszy mu więc drogę i pochwaliwszy Pana Boga, zawołał: A słowo stało się ciałem! a zkądże to tu panisko wzięło się z téj dzikiéj kniei, którą chyba drapieżne przebiegają zwierzęta, lub taki oto jak ja żebrak zmuszony jest przebywać, zdążając do zaleśnéj wioski po jałmużnę. — Królewicz nadrabiając fantazyą rzekł: Ja się też o trakt bity nie pytam, jadę w świat szukać biedy! — O jeżeli tylko paniczkowi o to idzie, żeby biedę znaleźć, to ja wiem, gdzie ona siedzi. — A gdzie, gdzie? zapytał skwapliwie niecierpliwy królewicz. — Hajwo Jaśnie Panie, w owych krzakach na prawo, możemy ją zaraz zobaczyć.

Było to polne zdrojowisko, obrośnięte na okół niskiemi krzakami. Otóż tu jest, odezwał się filuterny dziad do królewicza, gdy się do tego miejsca zbliżyli. Kto się w tém źródlisku przez pięć sekund zanurzy, podniósłszy się, ujrzy biedę na własne oczy. Niech mnie Bóg ciężko skarze, jeżeli kłamię. A z resztą musi ważyć kaczora, kto chce wygrać gąsiora. Na próbie nie wiele paniczek straci. Ja tymczasem dam baczność na konia, który, jak się zdaje, sam przez się placu dotrzyma. — Nie dał się królewicz długo prosić; rozebrawszy się do naga, położył szaty na koniu i daléjże do wody; ale że były gęste i cierniste krzaki, musiał mu je dziad krukwią na bok uchylać, aby nie draśnięty mógł je przekroczyć. Na komendę dziada: Raz, dwa, trzy! wskoczył ochoczo w wodę i zanurzył się z pluskiem. Tego też momentu filut dziad oczekiwał: rzucił jednę krukiew na bok, wyprostował się jak świeca, a uchwyciwszy silną ręką za grzywę konia, wskoczył za pomocą drugiéj krukwi dziarsko na siodło i przysiadłszy szaty królewicza, nuże poganiać

szkapę krukwią, hajsa do lasa, aż się za nim kurzyło.

Po kilku sekundach wynurzył się z wody ciekawy książę, przeciera oczy, i widzi, co się dzieje. Wyskakuje nagle z wody, chcąc biedz w pogoń za złodziejem, ale draśnięty cierniem, cofnąć się musiał, gdy tymczasem oszust już dopadał gęstwiny. Była to chwila krytyczna dla najwyrozumialszego człowieka, a cóż dopiero dla królewicza, co nie doznał cienia przeciwności. Nie dziw więc, że widząc swą gołotę i opuszczenie od całego świata, załamał ręce i zawołał w głos: oj *biedaż* mnie, *bieda!*

Słowa te własnemi usty wyrzeczone, były balsamem pociechy w jego niedoli, znalazł bowiem to, czego szukał, a zatem dopiął celu podróży, mniejsza więc o resztę. Szło teraz tylko o to, jak do domu powrócić. W takiéj przyrodzonéj goliźnie nie mógł się przecie i najlichszemu człowiekowi prezentować. Zaczął więc przedewszystkiem nad tém przemyśliwać, jakby okryć swą nagość; tymczasem schował się w życie, które go na szczęście całego zakrywało. Spostrzegłszy z dala kosarzy, podszedł żytem ku nim, skradając się nieznacznie, czyby mu się nie udało zdobyć jakie łachmanisko do okrycia. Właśnie leżały na miedzy brzuszlaki i kamizele, ale co chwila który z kosarzy to z znużenia, to z lenistwa wyprostowawszy się, ostrzył pół godziny brzęczącą kosę, oglądając się jak gawron na wszystkie strony. Królewicz przeklinał uroczy brzęk kosy, a jeszcze bardziéj lenistwo wieśniaków, które mu było na przeszkodzie zaradzenia tak nagłéj jego potrzebie.

(Koniec nastąpi.)

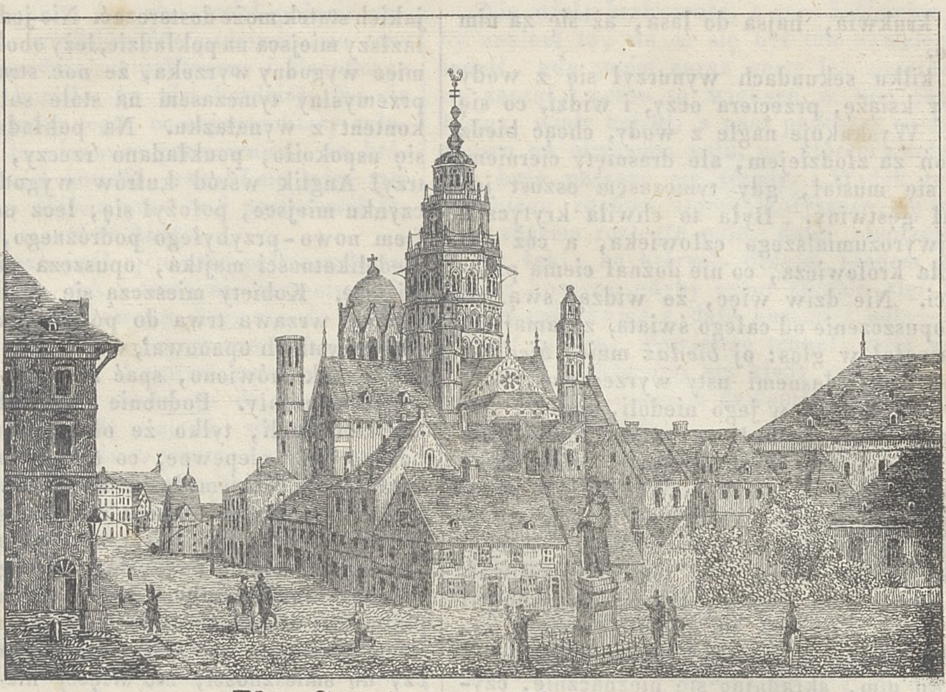
Pielgrzymka młodego Polaka z Bonn do Szwajcaryi r. 1841.

(Dalszy ciąg.)

Rozdział II.

Noc na parowym statku. Carlsruhe. Baden-Baden.

Mannheim od czasu, kiedy żelazna koléj go z Heidelbergiem łączy, stał się tegoż przedmieściem; miasto nowe, czyste, ciche, bez życia; gdzie niegdzie błądzi żołnierz, lub chłopiec ze szkoły wracający, lub podróżny, co znudzony pragnie odjazdu parowego statku. Zamek tutaj wielki, książęcy, ogród angielski nad Renem miłe dla przechadzających się daje przed skwarem schronienie. Wieczór oczekiwany nadszedł, dziesiąta wybiła godzina, dzwonek parowego statku krzykliwym głosem zwołuje podróżnych; każdy spieszy, aby w sali na noc znaleść przytułek. Kto lubownik jasnych nocy, ten mógł o księżycu do woli marzyć i ziębnąć na pokładzie, ja wolałem w sali sobie odpocząć. — Szczęśliwy, komu się dostało miejsce na kanapie, krzesło i poduszka, bo ma wszelkie przedmioty wygody, jakich statek może dostarczać. Nie jeden, nie znalazłszy miejsca na pokładzie, leży obok pieca; Niemiec wygodny wyrzeka, że noc straci; Francuz przemyślny tymczasem na stole sobie pościeła, kontent z wynalazku. Na pokładzie z wolna się uspokoiło, poukładano rzeczy, wtém upatrzył Anglik wśród kufrów wygodne do spoczynku miejsce, położył się, lecz uderzony kufrem nowo-przybyłego podróżnego, złorzecząc niedelikatności majtka, opuszcza niebezpieczne miejsce. Kobiety mieszczą się w drugiéj sali; krzyk, wrzawa trwa do północy, aż nareszcie sen wszystkich opanował, wyjąwszy dwie damy, które, jak mówiono, spać nie mogą, całą noc stróżując pisały. Podobnie jak w obozie wszyscy tam leżeli, tylko że obozowe nasze łóżka bardzo były niepewne, co chwilę bowiem ktoś zarazem z łóżkiem leżał na ziemi. Noc zdawała się wieczną. Zorza ranna pogodny zapowiada dzień, a niżeli jeszcze słońce się ukazało, przybiliśmy do badeńskiego brzegu, i wprost jedziemy do Karlsruhe. Miasto to sławne z swéj piękności, ale nie sprawiedliwie; regularność bowiem posunięta nie wiem czy do oryginalności, czy do śmieszności; nic więcéj nie znajdziesz. Zamek książąt panujących piękny, ogród angielski i zbiór historyi naturalnéj, są ciekawości miasta. Dziewięć ulic głównych wychodzi z dziedzińca zamkowego, jakby promienie; z drugiéj strony zamku, dziewięć chodników w ogrodzie odpowiada symetrycznemu założeniu miasta. Ogród zamkowy jest zarazem i botanicznym; oranżerye wielkie i piękne. W ogrodzie zachwalają każdemu pomnik wystawiony na pamiątkę Hebla ze spiżu. Popiersie poety w pracowni Dannekera podług jego modelu zrobione: twarz ma wyraz uczciwości, otwartości, naturalności i spokojności duszy, cechy znamionujące i poetę i życie jego i poezyą; lecz podstawa i baldachin żelazny nad popiersiem tak są miernéj roboty, że całość szpecą. Po krótkim pobycie, drogo zapłaciwszy niewygodę w hotelu, opuściliśmy Karlsruhe. Rastadt, pierwsze znamienitsze miejsce; miasto bardzo ciche, dla tego nie bez przyczyny powiedział ktoś, że do dziś dnia nad umysłami mieszkańców panuje duch pokoju, tam zawartego. Zaledwo milę ujechaliśmy drogą, co wzdłuż gór Czarnego lasu idzie, kręci się i prowadzi między góry. Od południa i od północy łączą się rozstajne drogi, i wiodą w dolinę, gdzie leżą słynne wody Baden-Baden. Ruch wielki, co chwilę mija nas czterokonna kareta, ciężko opakowana, to znów koczyk lekki, na spacer jadących, tam karawana na mułach wraca o chłodzie z wycieczki w góry; oto, już stawamy w hotelu. Góry Czarnego lasu tworzą pół mili długą dolinę, dokąd jedna tylko od zachodu prowadzi droga; z obydwóch stron łagodne się wznoszą góry, szczyty ich zdobią zamki, środkiem wije się rzeczka; na jednéj stronie terassami zbudowane



Plac Gutenberga w Moguncyi.

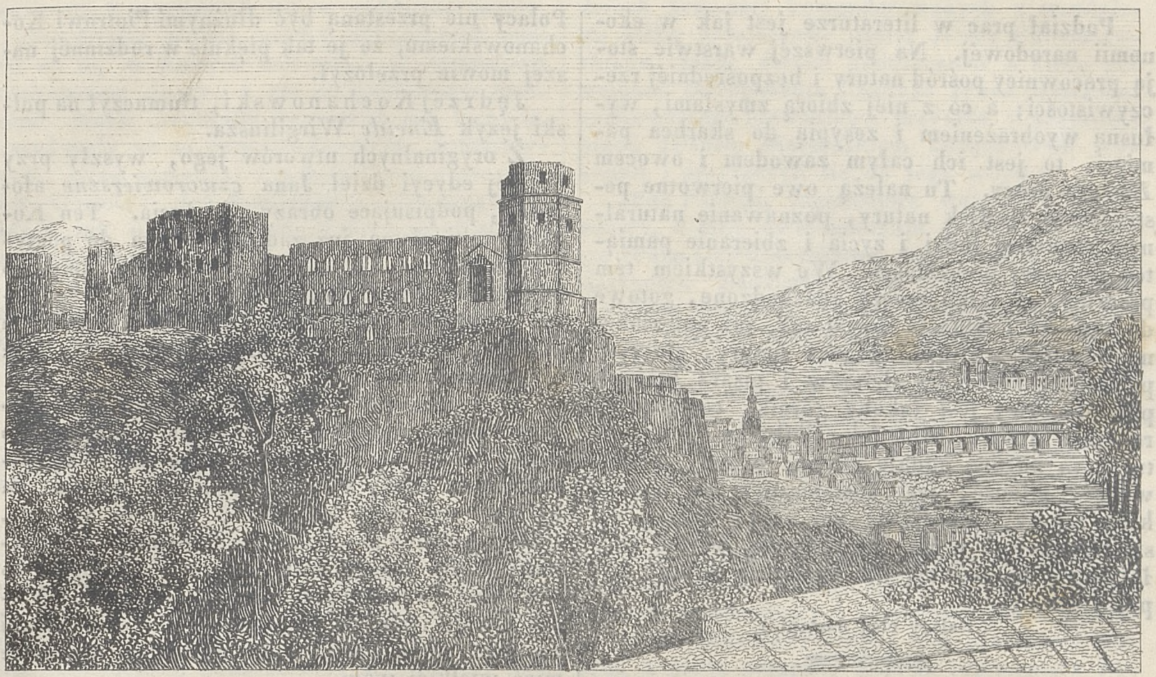
miasteczko Baden, z drugiéj cieniste chodniki. — Całe Baden jest ogrodem; łagodne powietrze, piękne pomieszkania, położenie romantyczne, zabawy rozliczne, tysiące obcych tutaj wabi, co albo u źródeł zdrowia szukają, albo téż rozrywki. Wieczorny był czas; wszyscy wychodzą na miejsce przechadzki, użyć chłodu po skwarnym dniu. Cienistą aleą spieszą goście do sal bawialnych. Muzyka wieczorna gra na dziedzińcu; na trawniku wielkim wesołe skaczą dzieci, w około kupiec, zarobku chciwy, rozłożył swe towary; tu Tyrolczyk piękną chwali rękawiczkę, tam czeski kryształ śpiewnym zachwala Czeszka głosem; tutaj modniarka paryskie pokazuje stroje, tam Włoch weneckie porozkładał łańcuchy. Piękne pojazdy uwijają się. Wszelkich narodów piękności spieszą, aby chwili przy tańcu nie zmudzić. Salony wspaniałe, tysiączne świeczniki jasności słońca nie ustępują; lecz dla czego do pobocznych tak się tłoczą ludzie salonów? tam są stoły gry. Tu fortuna zmienna nie jednego omyli, spiesznie z ręki do ręki przechodzą pieniądze; nie jeden podróżny, pełen nadziei, już szczęśliwy wygraną, nakoniec smutny opuszcza salę, taki bowiem bywa los niemal wszystkich, raz ich szczęście znęci, aby późniéj tém bardziéj ukarać. W mieście samém stary zamek margrabiów badeńskich zwiedzenia godzien; podziemne jego pieczary przejmują strachem. Ciemnym kurytarzem z kagańcami dojdziesz do sklepienia, gdzie czarny sąd średniego wieku w nocy swe posiedzenia odprawiał; tam oskarzonego z góry spuszczano; a skoro śmierci wyrok zapadł, odprowadzono go długim kurytarzem do żelaznéj dziewicy; lecz zaledwo się do niéj zbliżył, zdradliwa usuwa się podłoga, i przepaść pochłonęła potępionego. Nikt nie widział, nikt nie znał tych pieczar, nowsze czasy odkryły te okrucieństwa.

W Baden - Baden znajdziesz jeszcze zbiór starożytności rzymskich, tam znalezionych; że te wody już Rzymianom były znane, o tém świadczą rzymskie łaźnie w miejscu odkryte. Prócz tego wszelkie w Baden masz zabawy, teatr, panorama, wystawy obrazów, koncerty, przedstawienia melodramatyczne, bale, gry; goście bowiem tutaj więcéj dla zabawy, niżli dla zdrowia przebywają, dla tego téż u źródeł i w kąpielniach próżno, a salony napełnione.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rzecz o dylettantyzmie litterackim, czytana na posiedzeniu literackiém w Gostyniu dnia 7. Maja 1842.

Dwa wydziały nasze, przemysłowy i literacki, w łonie tutejszego towarzystwa kasynowego zawiązane, są jakoby dwaj rodzeni bracia, jednéj matki dzieci; a przecież pierworodny wydział przemysłowy swą coraz żywszą działalnością i wydawaniem najlepszego może



Ruiny zamku heidelbergskiego.

z polskich pism agronomicznych *Przewodnika rólniczo-przemysłowego*, o tyle dotąd wzmógł się i wyrosł, o ile wydział literacki, chociaż z łona tegoż samego towarzystwa poczęty, zbezczynniał i osłabł. Przyczyna tego bardzo naturalna. Tamten rozwijał się we właściwéj sobie między ziemianami sferze, i będąc z ich substancyalnym interessem złączony, znajduje także silne u nich poparcie; gdy literacki przekraczając miedzę ziemiańskiego życia i rwąc się ku nazbyt wysokiéj dziedzinie naukowego zawodu, musiał zmitrężeć dziwném zapoznaniem stanowiska swego. Albowiem w stanach spółecznych, aczkolwiek *pojedyncze* indywidua z jednéj sfery do drugiéj, wyjątkowo, wedle powołania, przenosić się mogą, wszelkie atoli korporacye, jako *zbiorowe* indywidua, gdy nie ku powszechnemu interessowi ludzkości, lecz ku szczególnym zawodom skierowane, zawsze na sobie nosić muszą rodzimy charakter téj sfery, w któréj obrębie istnieją. Czyliż jednak dla tego te stany, pewne warstwy spółecznego organizmu, mają się tak ściśle pomiędzy sobą odcinać, mają mieć tak ostre granice, tak krystaliczne linje, jak w martwéj naturze lub indyjskich kastach? Czyliż one mają się łączyć w skład spółeczny jak kamień z kamieniem, nie jak członek z członkiem? Czyliż to wzajemne spływanie i przedzierzgiwanie się żywiołów, to zasuwanie się niższych warstw we wyższe, ten dylettantyzm, choć w bezwzględnéj sferze sztuk pięknych niewczesny, czyliż w całym intellektualnym zawodzie niepożytecznym jest także? albo, czy ci, co sobie wyłącznie naukowego nieobrali zawodu, czyliż już z pożytkiem działać dlań niemogą?

Skutki wprawdzie w dotychczasowym braku działalności i szczupłej liczbie członków naszego wydziału literackiego, zdają się smutne składać świadectwo o niewczesności podobnych usiłowań. Lecz przyczyną do tego było tylko pewnie zbyt wysokie zakreślenie zawodu, zupełnie oderwanie się od stanowiska swego. Żądano własnych rozpraw i krytyk dzieł ważnych, a roczne zaniedbanie udzielania prac takich, pozbawiało prawa należenia do wydziału; projektowano wydawanie zbioru prac literackich, któryby ze wszystkich gałęzi nauk mieszcząc artykuły, zdawał sprawę z intellektualnego postępu Wielkopolski; co wszystko, lubo arcy-chwalebne, w skutkach atoli okazało się być przechodzącem możność *ziemiańsko*-literackiego gronka, i wnet też wysokie to zakrawanie na uczoność, a pasowanie każdego z członków na autora, jak z razu znęciło niektórych, tak później, gdy niemogli się uiścić zaraz z obowiązków za warunek położonych, spowodowało do wymykania się od posiedzeń, albo do jawnych zrzeczeń się tytułu literackiego; aż nakoniec, zostały teraz tylko próżne krzesła i akta, o białych kartach.

Pomimo to wszakże, stowarzyszenie takie wielce użytecznem i dla wszystkich przystępnem być może, gdy zważyć zechcemy, jakie właściwe sobie stanowisko obrać powinno, w ogólném pracownictwie intellektualném.

Podział prac w literaturze jest jak w ekonomii narodowéj. Na pierwszéj warstwie stoją pracownicy pośród natury i bezpośredniéj rzeczywistości; a co z niéj zbiorą zmysłami, wyłusną wyobrażeniem i zesypią do skarbca pamięci, to jest ich całym zawodem i owocem *Biernéj* pracy. Tu należą owe pierwotne postrzeżenia zjawisk natury, poznawanie naturalnym rozumem ludzi i życia i zbieranie pamiątek niknącéj przeszłości. We wszystkiém tém przecież, są tylko rzeczy znachodzone, gotowe do wzięcia i oddania innym tak, jak nalezionemi zostały. Tu postrzegacz natury, zbieracz pamiątek, kronikarz dziejów i pisarz luźnych pamiętników, jest jakoby górnik, co dobywa rodzime kruszce, albo jak rólnik, co płody natury, *in natura* oddaje innym; a znój, pracowitość, pilność, jest dostatecznym tu warunkiem roboty, któréj się ani uczyć długo, ani się terminować w niéj nie potrzeba, bo kto chce łatwo się jéj nauczy, jak każdy się nauczy kopać i grabić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O Piotrze Kochanowskim i o geniuszu Tassa.

(Dokończenie.)

Nawet anachronizmy historyczne, jako to, w nazywaniu Faraonów egipskich (w starożytności) Kalifami, a w nadawaniu imion starożytnych Egipcyan wodzom wojska z Arabów złożonego. Wspomnienie o królu żydowskim w Jerozolimie panującym, gdy ta należała na on czas do książąt machometańskich, błąd jeograficzny umieszczający wyspę Rhodus i Kretę, gdzieś opodal Alexandryi, wszystko to cechuje epokę, w któréj nauka historyi i jeografii nawet biegłym w innych przedmiotach nie były pospolitemi; wprowadzenie na scenę Włocha Rywalda, jako najgłówniejszego prawie bohatera poematu, gdy w istocie to książę mało było znaném w wojnach krzyżowych, nie jest dworackiém podchlebstwem dla panującéj familii (jak by to w późniejszych wiekach zapewne było), ale maluje czasowość także, tą wspólną wszystkim chęcią, wywyższenia swego narodu, rodu, i klejnotu familijnego, nad inne. Zapewne, szkodzi to nieco w naszych już oczach piękności całego utworu, z innego źródła swoją prawdziwą poezyją czerpającego, ale jak żądać, aby starożytne księgi, nowożytnemi czcionkami drukowane były!.. Nas dziwi, że Piotr Kochanowski nie dodał jakiego znamienitego rycerza, z którym z książąt mazowieckich do Palestyny przybyłego. I jako *myśl* współuczestnictwa narodu naszego do wojen krzyżowych, — nic by nie było dziwnego.

Niemniéj *Jerozolima Wyzwolona*, to arcydzieło Tassa, ciekawém będzie w każdéj epoce, a Polacy nie przestaną być dłużnymi Piotrowi Kochanowskiemu, że je tak pięknie w rodzinnéj naszéj mowie przełożył.

J ę d r z é j K o c h a n o w s k i, tłumaczył na polski język *Eneidę* Wirgiliusza.

Z oryginalnych utworów jego, wyszły przy drugiéj edycyi dzieł Jana *czworowierszne* aforyzmy, podpisujące obrazy pór życia. Ten Kochanowski niema już żadnego prawa do poetycznego wieńca, a jeśli o nim wspominamy, to bynajmniéj przez wzgląd familijny, lecz aby zaraz oznaczyć *stanowisko literackie* podobnych pisarzy, których w późniejszych wiekach tylu się namnożyło.

Jego pracowite tłumaczenie Eneidy jest *rękodzielniczym wyrobem*, równie jak czytanie tego dzieła stało się na pewien czas zabawką piśmiennych ludzi, a będzie w krótce trupem, na którym się uczą anatomii, składni wiersza. Utwór podobny nie rozświeca bynajmniéj wewnętrzną myślą okręgu uczuciowego w narodzie, co jest celem, a raczéj przeznaczeniem poezyi. W oczach więc tych, co za pierwszy szczebel poezyi każdego kraju pieśni ludu uważają, nie może mieć wielkiéj wagi.

Treny, Psalmy, Sobotka, Fraszki Jana Kochanowskiego, odbijają jak w zwierciedle narodowe życie. Jerozolima Wyzwolona odbija *rycerskość*, ale Eneida, mogła tylko posłużyć za dykcyonarz obcéj mowy, za sprzęt zagraniczny sztucznie urzeźbiony, zagraniczny nawet w swoim własnym kraju (w ojczyźnie autora) gdyż na wzór greckich ubrany. Język, w jakim jest przełożoną, nie odznacza się także już tą czystością, jaką uwielbiamy w pismach Jana i Piotra. Wnioskujem więc, że pan Jędrzéj, mąż pracowity, ale mniéj talentu posiadający, wstąpił w ślady swych krewnych, tak jak to się zdarza widzieć, gdy spadnie jaki ciężar na wodę, wnet na jéj kryształe, obok wielkiego, tworzą się małe kółka i znikają po chwili. Wszyscy prawie poeci i pisarze polscy z czasów Zygmuntowskich wprawiali się pod względem sztuki, składni i budowy języka na włoskiéj lub łacińskiéj literaturze. Jan Kochanowski, Klonowicz, Piotr Kochanowski i inni podobnież się kształcili. Ale ci, co w istocie w *praktyce życia* czuli w swém łonie ogień poetyczny, wywoływali rodzinne i pierwotne postacie z wnętrzności własnych i z własnéj swéj ziemi. Inni uszywali papierowe łacińskie formy i nadziewali je łacińskiemi myślami. W połowie XVII wieku, język polski znacznie ucierpiał przez służebnicze naśladownictwo łacińskiego, od którego całe wyrazy pożyczał, tworząc dziwną mozaikę z *pół-żywéj*, z *pół-martwéj* mowy.

Scholastycyzm jezuicki nadymał wyrażenia, i bez względu na piękne wzory, jakie zostawili Kochanowscy, Górnicki, Rej, Skarga, wynarodowiano się *mową* więc i *duchem!* jak to zobaczymy następnie. Mało dzieł ustrzegło się skaz

obczyzny w *wyrażeniu* lub w *pojmaniu* rzeczy, a prawdziwie piękne ustępy późniejszych poetów są te, w których szli tylko za naturalném natchnieniem *duszy*, a nie za publicznym *smakiem*. Smak publiczny popsował się bowiem, a wpłynęły na to popsucie Łacinizm, Scholastycyzm, Rząd szwedzki i t. d., wszystko nie polskie żywioły! Jan Kochanowski dźwignął był jednak tak wielki kamień, któren mógł służyć za drogoskaz przyszłości.

Lecz niezwracano zawsze nań oczu, chętniéj na Rzym patrząc starożytny, jako to miasto niegdyś patrzało tylko na Ateny.

Wł. Wężyk.

Początki konfederacyi barskiéj.

Ułamek z Dyaryuszu w Latyczewie d. 20. *Marca* 1768 *roku pisanego.*

Przed tygodniem wyszedł podjazd z Baru wojskowy ku Grodkowi i Hussiatynowi, dla złączenia się z chorągwiami JPana Dzieduszyckiego, cześnika koronnego, zostającemi według umowy i przysięgi tegoż JPana na jedność i wierność teraźniéjszéj konfederacyi uczynionéj, pod dyspozycyą konfederacyi. Temi podjazdami dowodził osobiście sam Puławski, marszałek związkowy. JPan Potocki, regimentarz, stanąwszy w Hussiatynie, a dowiedziawszy się, że JPan Dzieduszycki przybył z Kamieńca do Zbaraża, mil półtory od Hussiatynia, posłał do JPana Dzieduszyckiego JPan Marszałek posłów, JPana Narzymskiego, cześnika dobrzyńskiego, Paszkowskiego, komornika sandomirskiego, Ochockiego, towarzysza znaku pancernego hetmańskiego, z propozycyą łączenia się i przysłania podjazdu, dla uwolnienia JPana Czackiego, podczaszego koronnego, i naradzenia się względem okoliczności i obrotów wojsk zagranicznych i ubezpieczenia kraju od dalszych ucisków i aggrawacyi.

JPan Dzieduszycki zapomniawszy swego przyrzeczenia i przysięgi uroczyście uczynionéj, reguł i zwyczajów w poselstwach praktykowanych, posłów zatrzymał przez cały dzień i noc i dwóch w areszt wziąść kazał, a JPana Paszkowskiego trzeciego posła, dopiero nazajutrz odesłał bez przyzwoitéj rezolucyi, deklarując, że sam z wojskiem i chorągwiami rusza i ciągnie. Nim ta wiadomość przyszła, JPan Marszałek niemogąc się doczekać posłów dla obserwowania ludzi w obrotach podejrzanych i konfederacyi szkodzić usiłujących, wysłał JPana Potockiego regimentarza z podjazdem, sam zaś z infanteryą i częścią wojska komputowego został w Hussiatynie, gdzie wiele bardzo znacznych ludzi i żołnierzy przybywało, dla sprzysiężenia się na obronę wiary i wolności. Dla przysięgi przybył także JPan Wojakowski, pułkownik artylleryi, i tęż wykonał. Dla przysięgi téjże i złączenia się z JPanem Marszałkiem dwóch kompanij komenderowanych z trzydziestą kilku żołnierzami partyi JPana Dzieduszyckiego, także dwóch podofficerów z kilku gemeinami od regimentu konnego JPana Mniszcha, podkomorzego litewskiego, przyszło i przysięgę przed JPanem Marszałkiem związkowym wykonali i przyłączyli się do jego wojska.

JPan Potocki, regimentarz wojskowy podjazdowy, o milę od Hussiatynia spotkał się z partyą JPana Dzieduszyckiego, maszerującą ku Hussiatynowi. Zadziwiwszy się tym wojska z chorągwiami marszem, wysłał ochotnika kilka koni, do których ludzie regimentowi ognia dali i kozaka postrzelili, co widząc Hussarowie przedniéj straży skoczyli na sukkurs, a regiment i całe wojsko do konfuzyi przyprowadzili. Komendant major Jaszowski był w niebezpieczeństwie, bo huzar róg kapelusza uciął uciekającemu i gdyby koń postrzelony nieszwankował, toby go był ściął, a gdyby Pan regimentarz nieutrzymał huzaryi wojska, przyszłoby było do znacznéj straty ludzi; zginął w téj potyczce żołnierz regimentowy i szeregowy jeden z strony JPana Dzieduszyckiego; tym przerażeni trupem, z placu ustąpili, a JPan regimentarz Potocki został się na placu. Za daniem znać o téj niespodziewanéj potyczce z Hussiatynia wysłany ochotnik i z komendą JPana Bardockiego pułkownika, już nie zastał wojska JPana Dzieduszyckiego.

Tegoż dnia, to jest 23. Marca, JPan Marszałek ruszył się z Hussiatynia z infanteryą, a JPan regimentarz został na noc w Hussiatynie. Była tam propozycya z strony JPana cześnika koronnego widzenia się i rozmówienia z JPanem Marszałkiem, ale do tego nie przyszło, w tym bowiem czasie przyprowadzono towarzysza znaku lekkiego, wysłanego z Kamieńca za Panem Wittem z expedycyą. Z listu JPana Dzieduszyckiego odkryto zdradę i niedotrzymanie przysięgi konfederacyi uczynionéj, który będzie w czasie publice komunikowany.

Dnia 24. Marca stanął JPan Marszałek w Janobnicach, i tam dla nabożeństwa na uroczystość zwiastowania Najświętszéj Maryi Panny, zabawił do drugiego dnia, a partya JPana rotmistrza traktem poszła prostym do Baru.

Dnia 25. Marca JPan Marszałek także udał się do Baru. W ciągnieniu odebrał wiadomość i przestrogę, że Moskwa od Żołkwi maszeruje ku Winnicy tym końcem, ażeby złączywszy się z tymi, co się w Winnicy znajdować mogli, Konfederatów prześladować i odciąć im komunikacyą z Wołyniem i innemi województwami.

Po tém uwiadomieniu podjazd z rady wojskowéj ku Niedzborzu i Latyczewu wysłano. A JPan rotmistrz ku Narwi i Konstantynowi nowemu w Bochnach, mil dwie od Konstantynowa stanął. Tam złapany Żyd śpieg, i chłop, który go przywiózł, wyznał, że jest od Moskwy najęty i wysłany. Powiadał, ale fałszy-

wie, iż w Konstantynowie Dońcy stoją, jest ich 80, a było przeszło 200.

Dnia 26. Marca, po takiéj powieści nazajutrz rano wysłano JPana Podbielskiego, towarzysza znaku Xcia starosty Kowalskiego i namiestnika, dawszy mu kilkadziesiąt ludzi i ordynans, aby dotarł, z komendantem się widział i umówił: z jaką imprezą ku Winnicy i Barowi zmierzają i ciągną, aby po drogach swawolnie Dońcy ludzi nienapastowali, rabunków nie czynili, ale po przyjacielsku się obchodzili. Komendant podjazdowy pociągnąwszy pod Konstantynów, chciał takowy wykonać ordynans i traktować po przyjacielsku. Lecz gdy ludzie weszli do miasta, Dońcy nierozważnie mścili się na naszych; nasi, osobliwie hussarowie przyszli do sprawy i krwawéj potyczki, z miasta Dońcy uchodzić zaczęli i komendant Dońców od strachu, jako była wiadomość, schronił się do komory i kłódką kazał się nakryć, rozumiejąc, że JPan regimentarz z wojskiem pociągnął. A gdy przestrzeżeni i informowani od Żydów, że niemasz wojska, tylko ta mała liczba, ruszyli się do broni, przyszło do krwawych utarczek, w których kilkadziesiąt Dońców plejzerowanych i zabitych zostało, naszych zabitych siedmiu, kilkunastu plejzerowanych, nad którymi Dońcy różne okrucieństwa czynili, jednego postrzelonego z cerkwi, drugiego z domostwa przez Żydów wydanego, choć się poddawali i o pardon prosili, tyrańsko pozabijali i sami z resztą swoich ludzi 30 podwód z postrzelonymi wyprowadziwszy, uszli i do Chmielnika udali się. Po téj akcyi z Latyczewa JPan Marszałek za daniem sobie znać, spieszno przybiegł ochotnikiem, za nim JPan regimentarz z wojskiem, ale już nie zastał Dońców, tylko kilku zabitych, między którymi dwóch znacznych. Dońce swego trupa chowali i za miastem pogrzebli, drugich z sobą wzięli i uwieźli.

JPan Marszałek uczyniwszy rozrządzenie ciał tych chwalebnych za wiarę męczenników u OO. Dominikanów, w kościele ich nieco zabawiwszy, do zamku wjechał i w tym zamku sąd na szpiegów, Żydów tamtejszych i chłopa złożony; Żyd jeden na śmierć, drugich na cielesną karę, Żyda na szubienicy nowopostawionéj kazano obwiesić; lecz ten dekret złagodzony więzieniem przez kwartał i plagi po dwa razy na tydzień dawać kazano, i grzywny na kościół.

Ztamtąd ruszyło się wojsko i podjazd ku Lityniu i Międzyborzu wysłane; po dwa razy Dońcy maszerujący z batowią (?) obładowaną zgromieni i batowią podjazd nasz zabrał, kilkadziesiąt koni jucznych z różnemi rzeczami i drugi podjazd napadł na Dońców z wozami, zabrał wozów 30 z Dońcami.

Dnia 29. i 30. przyprowadził podjazd Dońca z Filipowcem listu przewożącego i ordynanse. Odkryła się nieprzyjacielska na wojsko i konfederacyą barską konspiracya i zdrada. Uczyniona natychmiast rada wojskowa, wyszły ordynanse do różnych milicyi, ażeby się pod Bar ściągały i Brahiłów. Milicye tak piesze, jako i konne, są w marszu.

Od Mohilewa przyszła wiadomość o wojsku zagranicznem, zbliżonem na granicę, a którego kilka tysięcy ma wniść pod komendą JPana Makowieckiego i Lipków 2,500. Tegoż dnia przyszedł rapport, iż milicya chmielnicka jest w gotowości do ruszenia, któréj dany ordynans i wysłany do Chmielnika podjazd, drugi do Pikowa do milicyi kijowskiéj i ostrogskiéj, także nadwornych.

Tegoż dnia powychodziły ordynanse i wojsko dwiema partyami ku Barowi i Winnicy poszło.

Dnia 1. Kwietnia ruszyło się wojsko dwiema partyami, jedna z JPanem Marszałkiem związkowym, druga z JPanem Potockim regimentarzem ku Barowi.

JP. Marszałek stanął na noc w Latyczewie na nabożeństwie, a przenocowawszy, nazajutrz, to jest, dnia 2. miesiąca Kwietnia, ruszył się z wojskiem, wysławszy dwa podjazdy, jeden ku Pikowi i Chmielnikowi, drugi ku Barowi.

Tegoż dnia przyszły listy i expedycye z Baru i Mohylowa, z doniesieniem, iż Prześwietna Porta i Najjaśniejszy Han przyjął pełnomocników naszych bardzo dobrze i łaskawie i że poselstwo nasze i wysłanie posła jak najprędzéj ma nastąpić.

Listy od konfederatów podjazdowych donoszą o obrotach moskiewskich i o tych, którzy się zbliżali pod Winnicę i w Janowie niedaleko Winnicy okopali się, oraz koło Pikowa kiryssyerów 300, Dońców 200; ale w Winnicy ma być 150. Jest w tych listach zapewnienie, iż tamte podjazdy, mające blisko 2,000 ludzi, nieturbując wojska, dadzą im radę i niepuszczą do Baru. Listy z Konstantynowa z d. 3. Kwietnia donoszą, że podjazd konfederacki znacznie Dońców w Konstantynowie zbił, a inni, co na sukkurs przybyli, pod Kijowem i Winnicą z batownią tychże i konnych z jukami we dwóch miejscach zbił i zabrał. Z Krzemieńca uwiadomiają, iż konfederacya barska ma w liczbie 17,000 wojska, które się coraz bardziéj pomnaża. Z Brahilowa milicyą do konfederacyi zabrano.

JW. Jmść Pan Czacki, podczaszy koronny, dotąd jeszcze w areszcie moskiewskim zostaje tak zubożony mocno, że i dla wojska i dla swojéj potrzeby niema się czém supplementować.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)